

Robert Hichens.

BERBERYJSKIE KOZY.

(Tłumaczenie z angielskiego).

2

— Odpowiem ci za chwilę, Crumpet, kiedy, och!

Wydała lekki okrzyk i stała cicho, ściskając męża za ramię. Doszli byli do pustyni i mieli przed sobą zachód słońca. Nagle świat się zmienił. Jarząca gra barw raziła ich oczy. Rzeka, płynąca teraz spokojnie, gubiła się daleko w oazie wspaniałych drzew palmowych, rosnących wśród niezmiernie pustyni blade-żółtego piasku, na którym migotały rozrzucone kryształki. Na lewo ciągnął się łańcuch gór ciemnofioletowych na różowym horyzoncie, a z rozrębionych pomiędzy palmami brunatnych chat arabów dochodziły krzyki dzieci, szczenie psów, i przygłuszone dźwięki arabskich bębnow i piszczałek.

— Oh, Crumpet — rzekła Lady Wyverne po chwili milczenia — jakie to dziwne i jak, jak...

Westchnęła. Oczy jej zasłyły łzami.

— Wielbłądy! Wielbłądy! — zawołała — Patrz, Crumpet.

Karawana wychyliła się z wąwozu, rząd objuczonych wielbłądów i bosych, brunatnych ludzi w powiewających łachmanach.

— Bardzo malownicze — przyznał sir Claude — Ubić jaką kozę.

— Tak, tak, wiem.

— Dobrze, ach, jak...

— Mówię ci, że wiem. Zabawimy tutaj dwie doby. Idź jutro o trzeciej i zabij co chcesz. Pozwól mi tylko zwiedzić te wioski i przejść się pod temi palmami.

— Nie możesz iść tam sama.

— Wezmę przewodnika.

— Poszukam, czy się znajdzie jakiś odpowiedni — mruknął sir Claude — Ten przewodnik chodzi zawsze z mężczyznami. Wiesz co Kitty, zaczynam być bardzo głodny.

— Ty żartoku — rzekła Lady Wyverne wzruszając ramionami. Lecz odwróciła się i zaczęli wracać do hotelu, który już był pogrążony w cieniach szybko zapadającej nocy.

W sali jadalnej zastali jednego tylko gościa, był nim młody, bardzo przystojny Arab, o którym kelner im powiedział, że jest oficerem spahisów, stojących w Algierze, że otrzymał urlop i jedzie teraz do swego ojca, możnego Kaida w okręgu Zibans. Lady Wyverne przyglądała mu się z zajęciem. Miał na sobie śnieżny turban i czerwony kaftan, pomiędzy tą bielą i czerwienią jego podłużne, czarne oczy błyszczały zuchwale, a białe zęby połyskiwały w uśmiechu kiedy się zwracał do usługującego kelnera, mówiąc doskonałą francuszczyzną. Twarz miał nadzwyczaj wyrazistą, z odcieniem okrucieństwa i dziwnie inteligentną.

Przez cały czas obiadu sir Claude mówił o berberyjskich kozach, a kiedy skończyli jeść, rzekł:

— Wiesz co, Kitty, chodźmy już do siebie.

— Do siebie! Po co? Dopiero ósma!

— Tak, ale musisz być bardzo znużona po tym wypadku i...

— Masz na myśli, że jesteś śpiący i że masz zamiar wstać o trzeciej dla jakichś kóz. Idź do łóżka, Crumpet, ale ja pozostanę na werandzie i będę patrzyła na księżyc.

Sir Claude rzucił senne spojrzenie na spahisa, który w tej chwili właśnie wziął orzech ze stojącego kosza z owocami i trzymał go delikatnie w swych cienkich, prawie kobiecych palcach. Młody oficer wyglądał bardzo niewinnie.

— Dobrze, Kitty, pójdę. Widzisz, jeżeli nie będę wyspany jutro, to...

— Spudłujesz do kozy i trafisz w przewodnika. Idź już!

Sir Claude zwrócił się do wyjścia. Lekki trzask dał się słyszeć. Spojrzał wkoło. Spahis zdusił orzech w palcach i spokojnie się uśmiechał, wyjmując starannie ziarno.

— Nie wiem zresztą, czy zaraz się położę — zaczął sir Claude — może lepiej wypaść jeszcze.

— Nie, nie, poduszka ciebie ciągnie, widzę to, Crumpet. Chodźmy.

I wyszła z pokoju wraz z mężem. Spahis

rzucił za nimi spojrzenie, wstał, zapalił papierosa i wyszedł na brukowany dziedziniec, nad którym wznosiła się weranda. Oparł się o słup i stał nieruchomo, patrząc na stojące rzędem drzewa i biały gościniec, prowadzący daleko w pustynię.

III.

Sir Claude poszedł naturalnie spać. Czynił zawsze to, co mu żona kazała. Lady Wyverne starannie go okryła, a usłyszawszy wkrótce dobrze sobie znane chrapanie, wyszła na werandę, pod którą stał młody spahis. Usłyszał szelest jej sukni wśród nocnej ciszy i uśmiechnął się. Gwiazdy jaśniały na niebie, a wstęga drogi prowadzącej przez wąwóz, biała oświecona księżycem. W hotelu gospodyni z rodziną i służbą siedzieli przy wieczerzy. Na dworze nie było nikogo. Po chwili spahis opuścił słup, przy którym stał, podszedł do ogrodzenia pod drzewami, które oddzielało dziedziniec od drogi i oparł się o nie, zwrócony w stronę werandy, lecz nie podniósł oczu na młodą kobietę. Zdawał się być pogrążony w głębokiej zadumie. Lady Wyverne przypatrywała mu się z ciekawością. Jego szeroki, biały turban przy księżycowym świetle wyglądał widmowo. Dlaczego stał tam bez ruchu? O czym mógł myśleć? Obecność jego drażniła ją i tembardziej czuła się zmieszana w tej miejscowości tak niepodobnej do miejsc, które kiedykolwiek widziała. Motylkowaty jej umysł został uwieczony przez tę afrykańską pustkę, na granicy pustki jeszcze większej, rozległej, nieznannej pustyni, w której ten człowiek urodził się, wychował i do której wracał. Uczucie jakby lęku zakradło się do jej duszy i zaczęła marzyć. Jak kobieta oddaje się marzeniu, niema granic dla jej wyobraźni. Lady Wyverne oddaliła się daleko od rzeczywistości, kiedy dziwny dźwięk zwrócił jej uwagę. Ktoś śpiewał, a raczej nucił dziwną melodię żalosnym, prawie dziecięcym głosem. Kto to mógł być? Nie widziała nikogo oprócz młodego oficera i nie przyszło jej nawet na myśl, że ten głos mógł wychodzić z ust mężczyzny. Słuchała oparta o balustradę. Śpiew nie ustawał i wydało się jej, że się zjednoczył z nocą, że się stał głosem nocy. Melodia nie była piękną, słuchała jej z zajęciem, gdyż nigdy jeszcze nie słyszała nic podobnego. Stopniowo śpiew ten zaczął ją drażnić prawie boleśnie, denerwował ją, niepokoił. Kto był tym śpiewakiem? Starła się umiejscowić dźwięki i zdawało się jej, że pochodzą z miejsca, na którym stał spahis. Zdjęła rękę z balustrady. Czy to rzeczywiście on śpiewał? Czy to była serenada? Uśmiechnęła się; obudziła się jej próżność.

Kiedy się poruszyła, spahis ruszył się także. Przeszedł z wolna przez dziedziniec, podniósł głowę i ukazał Lady Wyverne swą śniadą twarz i otwarte usta. A więc on był tym śpiewakiem i zuchwale zwracał ten śpiew do niej.

Od czasu swego pojawienia się w „świecie“ Lady Wyverne była przyzwyczajoną do hołdów, którymi wykwindni młodzi ludzie obdarzają piękne kobiety. Lecz ta dziwna, afrykańska, żalosna serenada była czemś zupełnie nowym. Nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, uśmiechnęła się do spahisa. Przestał śpiewać i odpowiedział jej uśmiechem, poczem zaczął mówić, jak gdyby to było najnaturalniejszą rzeczą w świecie.

— Czy madame widziała kiedykolwiek pustynię przy świetle księżyca?

Lady Wyverne drgnęła i cofnęła się. Do prawdy, to było za wiele.

— Madame schodzi na dół? — zapytał spahis z chłopięcą naiwnością.

— Nie.

— To szkoda. Pięć minut drogi i madame mogłaby widzieć pustynię w księżycowym świetle. Niema się czego obawiać.

Spuścił rękę i natychmiast ją podniósł. Lady Wyverne ujrzała stał rewolweru błyszczącą w blasku księżyca.

— Nie obawiam się — rzekła.

Mówiła z pełną samowiedzą. Kaprys, któremu zawsze dawała się powodować, szeptał: „To nowa zabawa! Nie bądź tak niedorzeczną, żeby jej unikać“.

— Ale madame nie pragnie widzieć pustyni?

W tej chwili zauważył, że błękitne jej oczy patrzyły na coś poza nim. Odwrócił głowę i zobaczył rząd wielbłądów i arabów, zdążających drogą wiodącą na pustynię.

Piasek głużył stąpanie wielbłądów, zakaptu-

rzeni arabowie, w powiewnych szatach, przesuwali się jak widma, ukazując się, to znów znikając w cieniach wąwozu. Widok ten wzniecił w Lady Wyverne uczucie romantycznej tajemniczości i pragnienie podążenia za tymi ludźmi w srebrzystą krainę rozciągającą się po za skałami.

Na palcach przeszła przez werandę i zajrzała do pokoju męża. Chrapał zapamiętale.

— Sni mu się o berberyjskich kozach — szepnęła — Gdyby tylko Crumpet był trochę więcej... hm.

Westchnęła, wzięła płaszcz i cicho zeszła ze schodów.

Spahis spotkał ją na dziedzińcu. Zuchwałość znikła z jego twarzy i skłonił się jej z ceremonialną powagą, która zadziwiła lady Wyverne nie przyzwyczajoną do szybkiej zmiany w sposobie obycia, tak częstej u ludzi Wschodu.

— Czy monsieur nie zejdzie? — zapytał z prostotą.

— Monsieur!

Lady Wyverne spojrzała ze zdumieniem w jego wielkie, ciemne oczy.

— Monsieur spi — dodała, przychodząc do siebie.

— Tak wcześnie!

Nie było cienia sarkazmu w jego głosie.

— Idzie jutro o trzeciej polować na berberyjskie kozy — rzekła trochę szorstko.

Spahis patrzył uważnie na jej ładną, jasną twarzyczkę.

— Berberyjskie kozy! Berberyjskie kozy! — powtórzył jakby z politowaniem.

— Czy mogę pomóc madame nałożyć płaszcz? — dodał po chwili.

— Ja nie, nie wychodzę — rzekła.

— A płaszcz? — rzekł poważnie.

Wziął go i szybko, z wdziękiem i niezwykłą zręcznością pomógł jej go nałożyć.

— Chodźmy, madame!

— Ale...

Otworzył bramę.

— To kwestya pięciu minut. Za kwadrans będziemy z powrotem i madame będzie widziała, ach, coś cudownego, coś cudowniejszego niż kiedykolwiek widziała w Anglii.

Trzymał bramę otwartą. Lady Wyverne wyszła na drogę.

O trzeciej rano, kiedy gwiazdy jeszcze świeciły, Lady Wyverne słyszała jak jej mąż krzątał się po swym pokoju, następnie podszedł do jej drzwi, ostrożnie je otworzył i wszedł ze świecą w rękę. Leżała spokojnie z zamkniętymi oczami, zamknął drzwi i usłyszała jak zbiegał ze schodów. Odezwały się przytłumione głosy na dziedzińcu i tupot mułów. Pojechał. Westchnęła. Zapytywała się samej siebie, dlaczego udawała, że spi, lecz nie starała się odpowiedzieć na to pytanie.

— Mam nadzieję, że będzie miał dobre polowanie — myślała.

I zasnęła rzeczywiście.

Po południu, około piątej, sir Claude podjechał do bramy hotelu w doskonałym humorze. Za nim, przewieszona przez muła, leżała ubita zwierzyna.

— To dopiero polowanie! — zawołał do żony, siedzącej na werandzie — Czekalam kilka godzin i mówię ci, Kitty, czy nie zanudziłaś się tutaj na śmierć?

— Nie, Crumpet.

— Ładna miejscowość, prawda? Radbym spędzić tutaj tydzień!

— I owszem — rzekła.

— Chciałabyś? — zawołał.

— Chcę tego, czego ty chcesz.

— Jesteś kochanym stworzeniem, Kitty. Wiesz, są i gazelle w dolinie i...

— Dobrze, dobrze!

Wbiegł na schody, żeby ją pocałować.

— Biedny, stary Crumpet — pomyślała. Miała wrażenie, że ma przed sobą chłopczyka.

Przy obiedzie byli sami.

— Spahis wyjechał? — zapytał sir Claude, rzucając wkoło obojętne, senne spojrzenie.

— Nie zdaje mi się. Widziałam go w dzień. Może poszedł do pobliskiej wioski i zajada „kus-kus“ z przyjaciółmi.

— Co takiego?

(Ciąg dalszy nastąpi).